DZIŚ i JUTRO



Z POLSKIEGO MORZA

Roguski

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

ROK VI. KRAKÓW, 15. LUTEGO 1930. NR. 6.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VI. KRAKÓW - 15. LUTEGO 1930. № 6.



DALEJ W TAN

Oj, w karnawał
Balów nawał
Każdy przecież dobrze wie!

A panienki
„Szyk" sukienki
Przymierzają całe dnie!

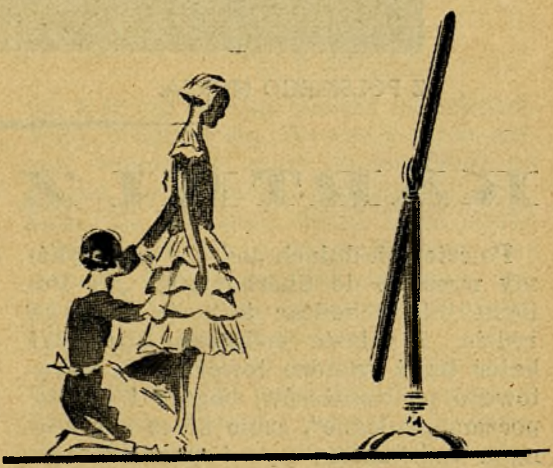
Do lusterka
Każda zerka,
Bo królową zostać chce

* * *

Ileż pląsów,
Lecz i dąsów...
Ach — lusterko panny zna!

Ile wtedy
Z suknią biedy
Jej krawczyni biedna ma!

Ale o tem
może potem
Albo lepiej — cicho sza!



(Ilustracje z „Nos Loisirs").

DZIĘKI CI, BOŻE...

Dzięki Ci, Boże,
za jawę snów:
żeś nam to morze
przywrócił znów
i że banderę,
co z masztów hen.
dumnie spoziera
na Bałtyk ten —
możem rozwinąć
od kilu lat
i z nią opłynąć
caluśki świat!...
To też niech leci
z pisklęcych gniazd
westchnienie dzieci
w krainę gwiazd —
byś wziął, o Boże,
pod swoją straż
to nasze morze
i brzeg ten nasz!!!

E. Kłoniecki.



Z POLSKIEGO MORZA. Fot. B. Niklewski*).

KARTKI Z PODRÓŻY

Po czterech dniach podróży przybyliśmy wreszcie do Cherbourg'a. „S/s Pologne" nie wchodząc do portu, staje na redzie. Z miasta podpłynął niewielki kater tegoż samego towarzystwa okrętowego po pasażerów, bagaże i pocztę, poczem „Pologne", czule przez nas żegnana machaniem rąk i powiewaniem chustek, podjęła kotwicę i poczęła się oddalać w kierunku Havru.

Zstąpiwszy na brzeg, ruszyłem piechotą do pobliskiego hoteliku. Tu należało

*) Fotografje naszego wybrzeża w okolicach Piaśnicy, gdzie projektowane jest utworzenie rezerwatu dla ochrony przed zniszczeniem cennej flory nadmorskiego typu.

przez trzy dni oczekiwać na przybycie angielskiego okrętu „S/s Andes“, który miał niebawem wypłynąć z portu Southampton do Buenos Aires.

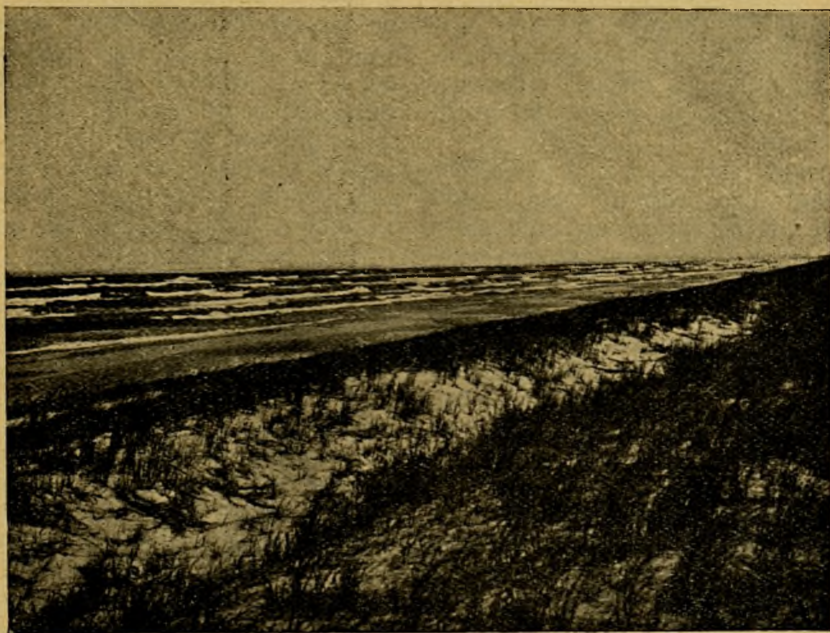
Cherbourg, ciche, nadmorskie, prowincjonalne miasto, twierdza i postój francuskiej eskadry, punkt tranzytowy dla ruchu pasażerskiego Europa - Ameryka i odwrotnie, przystań bezpieczna dla normandzkich rybaków, których typy z takim artyzmem odtworzył Pierre Loti. Wąskie, stare uliczki i domy miejscami nic jeszcze nie straciły ze swego charakteru od czasu Ludwików i rewolucji. Z Cherborg'a zamierzał Napoleon rozpocząć atak na Anglję (na placu przed gotycką katedrą, wzniesiono mu pomnik). Tuż poza miastem piętrzą się niewielkie wzgórza, nad któremi dominuje fort „S-t Jean“.

Przez port, miasto i dworzec, nieustannie przelewa się tłum globtrotterów, nadając mu życia, co przedewszystkiem wpływa dodatnio na kieszenie mieszkańców, gdzie stale tworzy się „osad“ z dolarów.

Czas minął szybko. Na trzeci dzień zebraliśmy się wszyscy w porcie. Byli tu pasażerowie z „S/s Pologne“, grupa emigrantów polskich i świeża paczka pasażerów przybyłych z Paryża. Na przystani obok naszych rzeczy ułożono skrzynie z jarzynami, owocami, nabiałem, rybą i winem obstalowane telegraficznie przez okręt (będziemy to konsumować w drodze).

Czekanie wydawało się wszystkim przeraźliwie długiem i nudnem. Skończyliśmy przecież rozrachunki z Europą, a to coś nowego jeszcze nie nadchodziło, ociągało się. Wreszcie około szóstej wieczorem mały kater odbił od brzegu, bo na horyzoncie od północy ukazał się pióropusz dymu, a po chwili sylwetka okrętu — to oczekiwany „S/s Andes“ nadpływał. Jak ogromny, potężny, biały ptak sunął powoli, rósł, zbliżył się i stanął na redzie.

Olbrzym lśnił od białości i starannie wyczyszczonych miedzianych obramowań okien. Komin i maszty miał żółte. Cały błyszczał w promieniach zacho-



Z POLSKIEGO MORZA. Fot. B. Niklewski.

dzącego słońca. Trzeba było wysoko zadzierać głowę by zliczyć szereg pokładowych pięter.

Przez szeroki otwór w burcie wchodzimy do wielkiego holu rzęsiście oświetlonego. Przepych, szatnia, portjerzy, szerokie eleganckie schody, biuro informacyjne, zakład fryzjerski, fotograf, prasowalnia ubrań — zdawaćby się mogło, że to nie statek ale wielki hotel Astorja. Publiczność mięszana; plantatorzy Ameryki Południowej, przedstawiciele wielkiego przemysłu i handlu, Anglicy - sportsmeni, zakonnice - sercanki, oficerowie, tragarze, gazeciarze, służba, cicho stąpając po gumowych chodnikach, roznosi i rozwozi na ręcznych wózkach bagaż do kajut. To I i II klasa.

Do III klasy prowadzi inne wejście.

Nie, stanowczo, wśród tych wygód chyba prawdziwy marynarz nie może się czuć dobrze, jak na zwyczajnym okręcie, z którym się zżywa i przywiązuje jak do żywego stworzenia, gdzie każdy kąt i sprzęt dopasowany jest nie do upodobań ludzkich, ale przedewszystkiem do wiecznego żywiołu fal, burz i wiatrów i ma swoje własne kształty, uświęcone doświadczeniem i tradycją morską.

Idę na górę do kapitana okrętu. Mr. Harris, siwy, uśmiechnięty wilk morski, w rozpiętym kołnierzyku i kurtce wyglądał jak więzień w żelaznej dusznej baszcie. Zabierał się do obiadu, właśnie boy stawił przed nim talerz zupy. Na biurku leżały w nieładzie stosy papierów, zwoje map, a na ścianie wisiały barometry. Kapitan był b. zajęty, w kabinie było gorąco. Po kilku minutach rozmowy, zbiegam przez szereg schodów i korytarzy do jadalni, w której grzmiała smyczkowa kapela. Nikt nie mógł zauważyć jak statek ruszył w drogę. Zmrok zapadł.

Nastał wieczór z jego świeżym chłodem i wyiskrzonem niebem. Gdzieś zdala migotały światełka latarni morskich jakby na pożegnanie. Woda szumiała, a z głębi sal dolatywały dźwięki orkiestry, jęczały i płakały skrzypce, wtórował im flet, jakaś rzewna melodja szła w ciemny przestwór cicho i spokojnie, jakby modlitwa. Nad czem płakały skrzypce? — trudno zgadnąć. Najmniej chyba to obchodzić mogło rozbawione damy i wysmokingowanych gentlemenów przy partji bridge'a. Kogo tu niema na tym statku? Oto galerja typów:

A więc, para zasłuchanych i zapatrzonych w siebie nowożeńców, powracająca do Argentyny; układny, zimny, starannie uczesany dyplomata; ognisto-rudy anglik - handlowiec, „inżynier od konserwów mięsnych", którego cały wewnętrzny świat nie wychyla się chyba poza londyńskie City; ksiądz - misjonarz i zakonnice, każdy dzień ich będzie płynął w tej nieznanej stronie w ścisłem zjednoczeniu z Panem Jezusem wśród poświęceń i cichej pracy i tak aż do bram wieczności; miły awanturnik, poszukiwacz wrażeń. Pochłoną go lasy i dziewicze knieje podzwrotnikowe, zapoluje w pampasach; technik niemiec, z wielkiej przędzalni jedwabiu pędzony rozpaczą w świat po utracie żony i dzieci ucieka od siebie, od swoich myśli, chce utopić nieszczęście w gorącym i zdradliwym klimacie Pernambuco; elegancki typ szalbierza, zadający szyku w I klasie, bezczelnie pewny siebie łotr z pod ciemnej gwiazdy, za którym napróżno goni niejeden urząd śledczy, długo będzie on się ukrywał przed sprawiedliwością; wreszcie półbarwny i bezbarwny, szary tłum pasażerów bez wyrazu, nazwiska i o niejasnej przeszłości. Dla każdego z emigrantów za jakie dwa tygodnie zacznie się twarda rzeczywistość, pryśnie na drobne kawałki sen o łatwym chlebie. Lepiej nie myśleć o tem, będzie jeszcze czas.

W trzeciej klasie wśród gorąca i zaduchu zalanego słabem światłem żarówek leżą lub siedzą w półcieniu postacie przyszłych parjasów, a może i miljonerów, kto wie!

Na okręcie w obliczu groźnego oceanu ludzie od pierwszej chwili zbliżają

się ku sobie, wiedzeni jakimś instynktem, Uprzyjemniają sobie czas rozmową, zabawą, grą, łatwo zwierzają się ze swych trosk i radości.

A na górze wysoko, na kapitańskim pomoście jak nieruchomy posąg stoi marynarz, oparty rękami na kole sterowem, wzrokiem przykuty do słabo oświetlonego kompasu, a myślą — do domku na ulicy Western Shore Road w Southampton, pod którego oknami kwitną krzewy jaśminu. Tylko dyżurny oficer miarowem stąpaniem przerywał ciszę wieczoru.

A w dole muzyka wciąż grała.

(C. d. n.) *Dr. B. Kalitowicz.*



Z POLSKIEGO MORZA. Plaża.

KILKA SŁÓW O GRAFICE

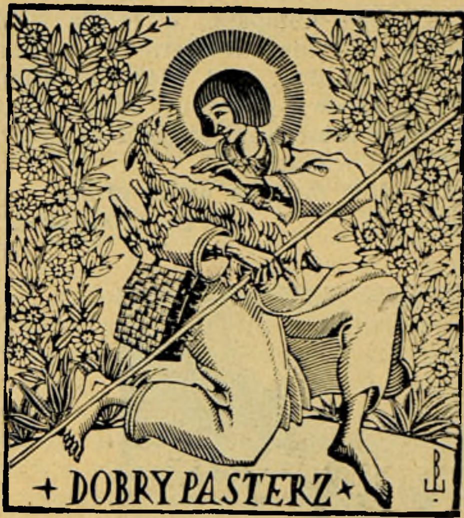
Grafika! tyle razy słyszy się to słowo, a dla wielu jest ono jeszcze pustym dźwiękiem. I nic dziwnego, bo ta gałąź sztuki plastycznej, malarstwu i rzeźbie pokrewna, w Polsce zaledwie z powijaków się wyzwala.

Prostota wyrażania się jest w grafice tylko pozorna, bo zestawienie plamy czarnej z białym papierem daje tak ogromną skalę natężenia barwnego, od drzeworytu, w którym artysta wypowiada się czarną, cienką, subtelną kreską, aż do takiej samej kreski białej na czarnem tle.

To tylko jedna z technik, a jest ich dużo: pokrewny drzeworytowi lineoryt (linoryt), a z innych: miedzioryt, suchoryt, akwaforta, akwatinta, mezzotinta, vernis - mou, litografja i t. d. Najszlachetniejszemi z nich są bezsprzecznie miedzioryt, drzeworyt, a wreszcie litografja.

Początków grafiki szukać należy w odległem średniowieczu. Pierwsze drzeworyty to obrazki, ich tematem postacie świętych, wyrażone kreską czarną, naiwną czasem niedołężną, w której znać że artysta nie panuje jeszcze nad materjałem. Szybko jednak sztuka ta rozwija się i drzeworyty Albrechta Dürera z końca XV w. wykazują już taką subtelność kreski i rysunku, że słusznie stały się wzorem dla następców.

W wiekach późniejszych, a zwłaszcza



Drzeworyt E. Bartłomiejczyk

w końcu XIX w. drzeworyt upada. Mało artystów zajmuje się nim jako osobną gałęzią sztuki. Drzeworyt staje się ilustracją czegoś, będącego poza nim, a co gorsza i co właśnie świadczy o jego upadku, staje się nieudolną kopją pociągnięć pendzla czy pióra.

Początek wieku XX przynosi drzeworytowi zmartwychwstanie powolne, ale coraz świetniejsze. Coraz szersze kręgi zatacza praca artystów grafików, coraz ich więcej staje w zwartym szeregu.

Zupełnie odrębną techniką jest miedzioryt, na którym, w przeciwieństwie do drzeworytów, tylko miejsca rylcem ostrym wyżłobione nabierają farbę.

Powstanie miedziorytu przypisują i bardzo słusznie, obrazkom rytym na srebrnej blasze t. zw. „niello“. Artysta złotnik, kontrolując pracę, czernił blachę i rysunek na papier przenosił. Odbitki z niej otrzymane posiadają wszystkie cechy miedziorytu, od którego różnią się tylko tem, że są odwrotne.

Trzecia z technik, litografja powstała dopiero z chwilą odkrycia w południowych Niemczech pokładów wapienia. nadzwyczaj wrażliwego na lekkie nawet zatłuszczenie.

Grafików polskich, zarówno w poprzednich wiekach, jak i w ubiegłem stuleciu, możnaby policzyć na palcach, bo wielu z nich, jak Chodowiecki, Polak z pochodzenia Niemcem jest w twórczości. Tematy czerpie przeważnie z życia niemieckiego, a choć od czasu do czasu zjawiają się w jego obrazkach rodzajowych głowy podgolone, wąsy zawiesiste, kontusz i niewiast robrony, ale to tylko jakby wspomnienie życia, jakie prowadzili niegdyś jego przodkowie.

Nie mając tradycji, grafika w Polsce rozwinęła się bardzo słabo. Nieliczni artyści pozostawali pod silnym wpływem obcym.

Jedynie Norblin, mimo obcego pochodzenia, wybił się na czoło. Taki stan trwał długo, bo dopiero XX wiek zaznaczył się silniejszym wzrostem polskiej grafiki. Wzrost ten bardziej zaznaczył się w drugim dziesięcioleciu XX wieku, kiedy obok Wyczółkowskiego, Gumowskiego i innych stają w szeregu grafików artyści tej miary co Skoczylas i Bartłomiejczyk, a wokoło nich coraz liczniej grupują się młodsi.

Jednym z ośrodków, w których rozwija się grafika, to Kraków, którego fragmenty architektoniczne nieraz służyły Wyczółkowskiemu i Gumowskiemu za temat kompozycyj, drugim takim ośrodkiem stała się Warszawa. Wpływ jej w obecnej dobie jeszcze silniej się narzuca, z powodu zmienionych warun-



Janosik (drzeworyt) Wł. Skoczylas



Rys. Stryjeńska.

ków politycznych, za czem bardzo szybko poszło i przesunięcie punktu ciążenia artystycznego z Krakowa do Warszawy.

W tej ostatniej, czołowymi grafikami o charakterze wybitnie polskim, to Skoczylas i Bartłomiejczyk i obaj najczęściej jako środka wypowiedzenia się używają drzeworytu. Jednak choć obaj operują jednym materjałem, mając do dyspozycji tylko prostą deskę, różnemi drogami dążą do celu.

Bartłomiejczyka „Głowa junaka" (dwubarwny drzeworyt) jak i jednobarwny „Dobry Pasterz" cięte są kreską naiwną, prostą, a jednak silną. Jego ilustracje do bajki „Dziad i baba" to plama czarna, zdecydowana, w której znać, że artysta materjał odczuwa.

Drzeworyty Skoczylasa, czasem naturalistyczne jak „Głowa junaka" lub „Głowa górala" cięte kreską cienką, subtelną, to znów bardziej stylizowane: „Janosik" lub „Łucznik" — są wręcz odmienne. Artysta w tych pracach operuje jeszcze jedną wartością, a mianowicie kolorem papieru i to zestawienie jego bieli z plamą czarną głęboką, lub kreską, przeprowadzone z nadzwyczajną maestrią podnosi ich wartość, dodając im przytem świeżości.

Z młodszych wybijają się na pierwszy plan: p. Duninówna, u której znaleźć można dużo wartości graficznych i p. Kluska, którego jedna z ilustracyj do „Opowieści o św. Mikołaju" wykazuje ogromną prostotę i duże odczucie.

Mówiąc o grafice, trudno nie wspomnieć o dwóch jej gałęziach, mianowicie o grafice stosowanej i przemysłowej. Do pierwszej należą inlustracje, w których artysta swoim językiem dopowiada lub zobrazowuje, do drugiej, afisze, reklamy itp.

Grafika przemysłowa, to „sztuka dnia dzisiejszego", życie jej, to życie motylka, krótkie, a jednak wartość jej ogromna i im społeczeństwo na wyższym stopniu kultury, tem sztuka ta bardziej się rozwija. Dziś już coraz więcej artystów w tym dziale pracuje, a między nimi spotyka się takich jak Bartłomiejczyk, Stryjeńska i Gronowski.

Trudno wszystkich wyliczyć, za dużo ich jest, co budzi nadzieję, że o ile grafika polska czynić będzie nadal tak olbrzymie postępy, przestanie być wkrótce zapomnianym kopciuszkiem, a może w niedługim czasie wyprzedzi innych na wystawach europejskiej sztuki.

X. Y.



KU SWOIM

Rozdział 3.

Zima zeszła na moralnych, ostrożnych i wielce zawiłych przygotowaniach do wyjazdu. Z dzieci został narazie do tajemnicy przypuszczonym tylko Włodek. Gdy młodsi zasnęli, przysłuchiwał się do późna w noc naradom matki i Motry, naradom prowadzonym w głębokiej ciemności, nakazanej zarówno przez oszczędność, jak obawę, by czyjejkolwiek uwagi nie zwrócić. Od nagłej, czarownej nadziei wyjazdu chłopiec płonął cały i drżał, niezdolny myśleć o niczem innem. Stał się jak dawniej wrażliwym, wesołym i dobrym. Narzucona ponura skorupa „komsomoła“ odprysła bez śladu na samą wieść o wyjeździe. W mieście nie był ani razu od jesieni. Wielkie mrozy i śniegi spadłe w międzyczasie, przecięły wszelką komunikację, przeto mógł pozostawać w domu, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Niegdyś szeroki gościniec, wiodący przez Kosobówkę do miasta, wysadzony był lipami i znaczony słupami telegraficznemi, lecz w latach porewolucyjnych lipy oraz słupy poszły na opał; gdy zimowe zawieje wypełniły przydrożne okopy, gdy pochyliły z rzadka, niedbale powtykane wiechy i zasuły je śniegiem, — mogłeś błądzić i błądzić w białem przestworzu i zginąć w niem wreszcie bez śladu, niby mucha w morzu mleka, by z wiosną dopiero sczerniałym trupem wychynąć z pod śniegu. Więc też nikt nie wydalał się ze wsi dalej niżli do lasu po drzewo i nieprzetarte żadnemi płozami zaspy leżały wpoprzek gościńca. Wieś przywykała coraz bardziej wystarczać sama sobie, obywać się bez cukru, soli, nafty, narzędzi rolniczych i wszelkich wyrobów fabrycznych. W nieskończenie długie zimy powracał odwieczny przemysł domowy, zarzucony od przeszło stu lat. Nieodzowną Rusinowi wódkę warzono w każdej bez wyjątku chacie; miód zastępował cukier, łuczywo smolne — lampę, krzesiwo — zapałki, kijanka lub (w ważnych razach, przed świętami) łój z ługiem — mydło, samodział — materjał kupny, zmielone na żarnach zboże — mąkę z młyna, a socha lub radło dawny pług stalowy. Jednej soli brakowało dotkliwie i zastąpić jej nie było czem. Od przydługiego jej braku ludzie zapadali na chorobę dziąseł podobną do szkorbutu. Pocieszali się jednak tem, że w pierwszych latach porewolucyjnych występowała ona znacznie ostrzej. Widocznie organizmy przyzwyczajały się powoli obchodzić bez tego ważnego składnika pożywienia. „Z czasem zapomną ze wszystkiem, że z solą jadały...“ mawiał do pani Turskiej staruszek Fediuk Pyłypowicz, patrząc na nią pogodnie niebieskiemi, poczciwemi oczami. „Najgorzej, matuszka, pamiętać jak kiedyś było... Najgorzej myśleć. Co z tego? Myślenie cię nie zbawi. Nie myślisz, — zaraz ci się wszystko wyda lepsze. U Iwana Dmytrowicza napalili samogonki, że lepszej w sklepie nie kupisz... aż pachnie!“

Wieś Kosobówka szła szybko w kierunku gruntownego zapomnienia „o tem jak kiedyś bywało“, zapomnienia o wszystkiem co było bodaj cieniem kultury, oświaty, ozdobą lub ułatwieniem życia; wszystkich zdobyczy jakie ludzkość wywalczyła sobie przez długie szeregi trudów, przez całą historję. Gdzieś po miastach, zorganizowana po mistrzowsku propaganda, wieściła całej Europie za pomocą radja, lotnictwa i prasy, że Sowiety są ogniskiem nauki i ducha, że w każdem miasteczku znajduje się uniwersytet, a w najodleglejszej „derewni“ chłop sowiecki słucha z zachwytem i zrozumieniem wykładów o marksizmie, — w rzeczywistości, wśród setek tysięcy wsi rozrzuconych po obszarze bezkresnej Rosji, ludność dziczała z rezygnacją, wracając szybko do najpierwotniejszych, omal że jaski-

niowych form bytu, z właściwą Rosjanom i Rusinom biernością nie próbując temu przeciwdziałać.

— Po co pamiętać jak kiedyś bywało? Po co myśleć?

Pochłonięta gorączką wyjazdu pani Turska spostrzegała zmiany wywołane tą filozofją żywiej niż poprzednio. Bezwiednie punkt jej widzenia przeniósł się już na zewnątrz tych ludzi i spraw. Spoglądałą na otaczających niby ktoś, co wprawdzie wraz z niemi tkwi jeszcze w bagnie, lecz wie, że lada chwila wydostanie się na bezpieczny brzeg i objektywnie stamtąd spojrzy. Równocześnie nie mogła pojąć własnej apatji, z której wyrwał ją dopiero wstrząs moralny, spowodowany świętokradztwem Włodka. Czyżby i ją ogarnęła, zatruta beznadziejność sowiecka, uosobienie nicości i negacji? Wprawdzie, gdyby nie cudowny podarek Motry, (choć brylanty były niegdyś jej własnością, pani Turska słusznie uważała je nie za co innego, jak za królewski iście dar starej piastunki) nie można było marzyć o wyjeździe, lecz czyż o nim myślała? Czyż nie była zdecydowaną pozostać tu do końca życia? W nadmiernej miłości i przywiązaniu do rodzinnego kąta nie zastanawiała się, że ziemia ta, z umiłowanej, słodkiej ojcowizny, staje się zwolna Molochem pożerającym jej dzieci. Poznawała teraz dopiero, że na pojęcie O j c z y z n y składa się nietylko grunt rodzinny, lecz i całokształt warunków koniecznych do życia duszy, — wspólność tradycji i wierzeń, wymiana myśli i słowa. Teraz dopiero, gdy świtała nadzieja wyjazdu, czuła się dotkliwie wygnanką, której ojczyzna jest tam w Polsce, wśród Polaków, a nie tu.

— Wbrew poprzednim zamiarom musiano dopuścić do wspólnej tajemnicy Irkę, która i tak sama rychło spostrzegła, że się coś niezwykłego w domu święci. Nieopisane szczęście, które rozjaśniło szczupłą, zamkniętą w sobie twarz dziewczynki, uderzyło matkę. Po napięciu i ogromie tej radości poznała, jak bardzo dziecko musiało tęsknić za innem życiem i środowiskiem. Ponowne sobie czyniła wyrzuty. Do wyrzutów przyłączył się jeszcze jeden kłopot: oto Irka najpierw oszalała ze szczęścia na myśl że będzie chodzić do szkoły, do prawdziwie polskiej szkoły! lecz wnet popadła w nieutuloną rozpacz. Przecież nic nie umie! zaledwie czytać i pisać i historję Polski i katechizm! Poza tem nic nie wie! Duża dziewczyna będzie siedziała między maleńkiemi, palcami ją będą wytykać! Łkała z żalu i wstydu jak gdyby serduszko jej miało pęknąć. Więc pani Turska szczerze przejęta jej bólem, jęła usilnie przypominać sobie wszystko, co jeszcze pozostało jej w głowie z dawnego, dość gruntownego wykształcenia, — daty i fakta historyczne, zasady geometrji, fizyki, strzępy literatur, polskiej i obcych, by podzielić się tym zasobem z dziewczynką. Wiadomości, które przez szereg lat niepotrzebne były, zbyteczne, zepchnięte niby do lamusa między graty, w najodleglejszy kąt pamięci, stawały się naraz ważne i pożądane, niedzowne u progu nowego życia. Z trudem, wysilając pamięć, drżąc co chwila, by mylnym wykładem dzieci nie obałamucić, pani Turska uczyła swych dwoje starszych wieczorami, w ciemnej izbie, gdy Janek już spał. Prócz tego postanowiono, że gdy mrozy zelżeją, a droga się przetrze, Irka pójdzie na dwa tygodnie do panny Widzkiej, aby się wprawić w pisanie.

Przejęta ważnością przyszłej zmiany, równie jak Włodek nie zdolna myśleć o czem innem, dziewczynka powtarzała sobie nieustannie nabyte wiadomości; dojąc krowę, recytowała urywki ze Słowackiego, nie zauważając zgoła, że strzyka mleko na kolana miast do skopka, ku nieopisanej ucfesze Janka. Ten, jeden nie wiedział o niczem i śmigał codziennie beztrosko po stawie, łyżwując po mistrzowsku na podkutych obcasach „czobotów".

C. d. n. *Z. Kossak-Szczucka.*

PRZYCZYNEK DO ARTYKUŁU O CERAMICE

W Nr. 5. „Dziś i Jutro“ prof. Jagmin bardzo poważnie rozpisuje się o ceramice wogóle, a specjalnie o pochodzeniu umiejętności glazurowania wyrobów glinianych — mimochodem potrąca o budownictwo krzyżackie z XIII i XIV wieku, które jednak duży wpływ wywarło na budownictwo średniowieczne w Polsce zachodniej. Mamy z tych czasów cenne zabytki w Wielkopolsce, na Kujawach, Pomorzu itd. — jak to zaznaczono w artykule z dnia 15 stycznia. Starano się o reprodukcje właśnie do tego ustępu, odnoszącego się do naszych polskich zabytków — ale dopiero po 3 miesiącach udało się otrzymać jedno dobre zdjęcie z napisem z kościoła św. Jakóba w Toruniu. Napis ten wykonany na cegle glazurowanej, o czem pisze Dr. M. Orłowicz w swoim „Ilustrowanym Przewodniku po województwie Pomorskiem“:

„Wewnątrz podobnie jak zewnątrz biegnie dokoła ścian łaciński napis majuskułą z wypalanej cegły, który się zaczyna nad drzwiami do zakrystji. O piewa on:



Kościół św. Jakóba w Poznaniu, wzniesiony w latach 1309 do 1350.

Fotografował Spychalski, Toruń.

ANNO DOMINI MILESIMO TRIGENTESIMO NONO EST HOC OPVS IN HON(OREM SANC)TI IACOBI APOSTOLI MAIORIS, AD QVOD CVM PIA MANV AD(IVTRI)CE V(ENER)ABILIS DOMINVS HERMANVS *) EPISCOPVS POSVIT PRIMVM LAPIDEM, QVEM DEVS AD AETERNAM IHERVSALEM PERDVCAT. AMEN.

Powyższy napis nie zachował się w całości — brakujące litery ujęto w nawias. Szkoda, że dotychczas nie robiono reprodukcyj ani w całości ani nawet częściowo tego napisu. — Do sfotografowania napisu trzebaby zrobić 40 zdjęć — podajemy tylko fragment, który starczy dla zilustrowania prześlicznych inicjałów romańskich. Warto zdać sobie sprawę z tego, że w owych czasach nie posługiwano się gotowemi szablonami, lecz wyrabiano każdą cegłę ręcznie. Z takiej właśnie formowanej cegły wykonany jest również profil okna, widoczny na naszem zdjęciu powyżej napisu, a zamurowany częściowo. Podobne profile są na filarach w kościele Bożego Ciała w Poznaniu.

Same litery przypominają miniatury średniowieczne wykonane misternie z iście benedyktyńską pracowitością, ale nietylko w kształcie leży owo pokrewieństwo. Tak jak mnich średniowieczny rysował i ozdabiał ręcznie każdą literę, tak i na nie złożyła się praca ręczna artysty - ceramika. Każdą literę z osobna musiał uformować i znów wypalić. — Ileż mogłaby powiedzieć każda z tych dochowanych liter,

*) Herman był swego czasu tutaj biskupem.

które narażone na wiatry i deszcze i śniegi ...przetrwały tyle wieków i nie straciły swej pierwotnej barwy. — Ta niezniszczalność barwy raz wypalonych wyrobów glinianych ma przed sobą wielką przyszłość.

Dobrzeby było, gdyby miłośniczki sztuki polskiej (członkinie kółek krajoznawczych czy artystycznych) nadesłały fotografje któregoś z zabytków wymienionych przez prof. Jagmina w artykule o ceramice w Nr. V. „Dziś i Jutro". Inne zdjęcia naszych zabytków n. p. kościołów drewnianych, dworków starych i t. p. redakcja chętnie przyjmie i umieści w pisemku.

M. I.



Widok na Toruń i kościół N. M. Panny.

WNĘTRZE KOŚCIOŁA N. M. P. W TORUNIU.

Świetlanej pamięci genjalnego architekta-wizjonera, poety i przeczystego człowieka, Stanisława Noakowskiego — wiersz ten poświęcam.

Jak las palm skamieniałych, podniebnych i strzelistych
pnie trójnawy gotyckiej wstęgami wzwyż bieleją:
z królewskich snów wykwitły krzyżackich Wielkich Mistrzów,
rozpiętą nad wiekami kamienną epopeją.

Stoją jak wbite w ziemię teutońskie nagie miecze,
jak białe archanioły pną skrzydła po sklepieniach —
zimne i obojętne na przemijanie człecze,
Wielkich Mistrzów krzyżackich królewskie sny z kamienia.

Surowe i olbrzymie teutońskich rot brzeszczoty,
których nie złamał Grunwald na krwawych swych rozłogach —
z królewskich snów dźwignięty las wichrów i las grzmotów:
kamienne błyskawice — kolumny tronu Boga.

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA.

HISTORJA PIERWSZEJ BAJKI

Niektórzy myślą, że bajka — to bajka — i nic więcej.

Inni mówią, że bajka w tęczowej szacie po świecie chodzi i na wonnych kwiatach zabiera kropie rosy. Albo, że w szczelinach ziemi się kryje i w noc księżycową chodzi po domach ludzkich. zagląda do pokoików dziecięcych, przy łóżeczkach staje i śpiącym dzieciom cudowne baśnie opowiada.

Mówią, że bajka — to królewna, że mieszka w szklanym pałacu i tysiące paziów ma na swe usługi.

Mówią i mówią — a mało kto wie, jak to jest naprawdę.

I chodzi bajka po świecie — nikt jej nie zna, nikt się nie pyta, skąd się wzięła i dokąd idzie.

Ale i bajka miała swój początek, a było to tak.

Był jesienny, mglisty dzień.

Kto mógł, siedział w domu i grzał ręce przy wesoło palącym się kominku.

Na ulicach miasta odzywał się od czasu do czasu turkot dorożki i chlupot pryskającego błota. Pieszych przechodniów niemal nie było.

Właśnie w chwili, gdy z gmachu „Kurjerka“ wybiegł pierwszy chłopak z okrzykiem: „Dodatek nadzwyczajny“ — w tej samej chwili otworzyły się drzwi sąsiedniego domu i poważnym, wolnym krokiem wyszedł na ulicę młody mężczyzna.

Był to student uniwersytetu. Wracał właśnie od swego przyjaciela, który tymczasem nic nie poradził na jego nędzę.

— Ha — mruknął sam do siebie — raz kozie śmierć!

Nie chciało mu się wracać do domu. Trzeba było wdrapać się na poddasze, na szóste piętro i siedzieć w zimnie i głodzie.

Ale nie było innej rady.

Po kwadransie drogi znalazł się na właściwej ulicy i zadzwonił do bramy. Dostawszy się do swego pokoiku wyszukał niedopalony kawałek świecy i przy kopcącym płomieniu rozpoczął pisać list.

Ukochana Mamo!

Nie mam już ani grosza w kieszeni. Wiem, że Mamie jeszcze ciężej niż mnie i dlatego serce mi pęka z bólu, gdy sobie przypomnę, że nic Mamie pomóc nie mogę. Gdybym mógł chociaż napisać coś wesołego do Kurjerka, to wydrukowaliby i zapłaciliby mi za to. Ale to, co napisałem, jest tak smutne, że redakcja nie chce drukować. Może...

W tej chwili wpadł zimny wiatr do pokoju i zgasił palącą się świecę. Zapałki już żadnej nie było.

Student po ciemku położył się na tapczanie i zmęczony zasnął po chwili.

Tymczasem w pokoju zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Stara lampa z okopconym szkiełkiem, że to często nad książkami siedziała i czytać się nauczyła, ciekawem okiem rzucała na list. Powoli, sylaba po sylabie odczytała wszystko. Serce ścisnęło się jej z bólu.

— Biedny mój pan — brzęknęła.

— Biedny... — odpowiedziały echem

wszystkie sprzęty w pokoju, choć jeszcze nie wiedziały dlaczego.

Stara lampa ujęta za serce współczuciem swych towarzyszy, brzęczącym głosem odczytała głośno cały list. Nastało głuche, bolesne milczenie.

— Trzeba mu dać pić — zadudnił pusty dzbanek, stojący na zardzewiałej miednicy.

— Trzeba mu dać pić — zgrzytnęła miednica.

— Z głodu giną ludzie — miłośnicy oświaty — brzęknęła lampa, w której już oddawna nie było nafty.

Stary stół, którego czwarta noga bez trudu dawała się odstawić, stuknął zamaszyście:

— Cicho, gaduły! Obudzicie mego pana, a nic nie pomożecie. Wiem, co należy zrobić!

— Co? co? — spytały ciekawie sprzęty, a piec tak szeroko otworzył usta, jakby chciał wszystkich połknąć.

— Idźmy — zatrzeszczał stół — idźmy w świat na żebry. Niech każdy uzbiera, co może. Przed świtem wrócimy tu razem.

Wszystkim podobała się rada. Zwłaszcza niebieski dzbanek był uszczęśliwiony, że na deszczu obmyje swoje zakurzone oblicze.

Ruszyli.

Powiązany sznur od kosza przymocował się sam do okna, po nim spuścili się na ziemię towarzysze z izdebki. Stary stół tylko swoją czwartą nogę wysłał na wyprawę, bo sam nie mógł przejść przez okno.

Ogarnęła ich ciemność nocy. Pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę.

Czwarta noga od stołu ruszyła rzeźko naprzód. Widziała zdala jasno oświetlone drzwi, przez które ludzie nieustannie wchodzili. Noga czuła, że tam coś zapewne zyska. Nieśmiało stanęła przy drzwiach i skorzystawszy z chwilowej przerwy w napływie tłumów, przekroczyła próg. Doleciały do jej uszu dźwięki strojonych instrumentów i monotonny głos:

— Bilety...

Zerknęła na prawo. Pusto. Przerażone spojrzenie rzuciła w lewo.

— Ach — odetchnęła swobodnie.

Na lewo wisiały płaszcze, czapki i kapelusze, a o ziemię oparte stały parasole.

Czwarta noga od stołu dotarła szybkim krokiem do kąta.

Parasole obrzuciły ją pogardliwem spojrzeniem.

— Przybłęda — zaszeleściły.

Ale czwarta noga wiedziała poco tu przyszła. To nic, że przyjęcie było pogardliwe.

— Moje uszanowanie — rzekła takim tonem, jakim mówił jej pan - student do wchodzących gości.

Parasole spojrzały trochę grzeczniej.

— Moje uszanowanie — odparły. — A skąd to?

— A na własnej nodze z szóstego piętra — rzekła czwarta noga od stołu.

— Z szóstego piętra? — zdziwiły się parasole.

— I to po sznurze.

Spojrzały na nią z podziwem.

Jeden z nich zbliżył się nieco i zaszeleścił słodko.

— Jakże godność szanownej pani?

— Czwarta noga od stołu — odparła dumnie. — A waszmość?

— Parasoliński... Jestem własnością samej hrabiny Nieznajomskiej.

— Mój pan coprawda nie jest hrabia, ale jest studentem — odparła dumnie czwarta noga od stołu.

Zaczęli rozmawiać cicho, coraz żywiej, coraz serdeczniej. Pan Parasoliński nie mógł wyjść z podziwu — czwarta noga od stołu wydała mu się najmędrszą i najlepszą osobą ze wszystkich, które dotychczas poznał. Ile w niej dobroci! a jaka odwaga! Zapragnął poznać jej izdebkę i zobaczyć tego biednego studenta, dla którego wszystkie sprzęty wyruszyły na żebry.

Nie spostrzegli, że przedstawienie już się skończyło i ludzie zaczęli tłoczyć się do szatni.

— Uciekajmy — szepnęła nagle noga, widząc, co się dzieje.

— Uciekajmy — zaszeliścił pan Parasoliński.

Wpadli na ulicę i pędzili prosto przed siebie. Ale nikt ich nie gonił. Ulice były puste i panowała wszędzie głęboka cisza. Nagle doleciał do ich uszu pisklivy głos.

— Ten dzbanek chyba spadł z nieba! Wiesz, co...

Obejrzeli się.

Stali przy drzwiach jakiejś kawiarni, a gruba kupcowa krzątała się za ladą. W kącie stał obłocony, blaszany dzbanek.

Czwarta noga trąciła pana Parasolińskiego.

— Patrz, to dzbanek naszego studenta!...

Schowali się w cieniu latarni i czekali co będzie.

— Zośka! — zawołała kupcowa do śpiącej w kącie dziewczyny — Zośka! a obmyjno tego gościa i zobacz, czy nie dziurawy.

Dziewczyna porwała się jak oparzona. Za chwilę wróciła ze lśniącym dzbankiem.

— Nie dziurawy, proszę pani.

Kupcowa postawiła dzbanek na ławie i poczęła do niego przekładać z kosza jaja.



— Jeden, dwa, trzy... — liczyła półgłosem.

Gdy dzbanek był pełny, zabrała się do innej roboty. Tego dnia w kawiarni nie było żadnych gości. Zośka spała więc dalej wtulona w kąt izby, a kupcowa robiła ostatnie porządki.

Nagle czwarta noga od stołu zaskrzypiała przeraźliwie. Kupcowa nie obróciła się nawet, myśląc, że to Zośka ruszyła się na ławie, ale dzbanek wiedział co to znaczy.

— Idę — zgrzytnął.

W chwili, gdy kupcowa odwrócona tyłem do drzwi liczyła pieniądze w kasie, dzbanek wytężył wszystkie siły — i znalazł się na ulicy.

Pan Parasoliński ujął go grzecznie za ucho, a czwarta noga od stołu za podniesioną w górę brodę i tak szli w trójkę po zabłoconej ulicy.

A czas już było wracać.

Tymczasem zgłodniały i zziębnięty student spał spokojnie na twardym tapczanie. Nie miał poco wstawać rano, a tembardziej przed świtem. Stało się jednak inaczej.

Około piątej rano zbudził go przenikliwy chłód. Nie przypuszczał, żeby przez nadtłuczoną szybę mogło wpaść tyle zimnego powietrza. Leniwie przetarł więc oczy i spojrzał w okno. Było na rozcież otwarte.

— Wiatr — mruknął student, zły, że mu zimno odebrało jedyną radosną chwilę spoczynku.

Nagle przez otwarte okno doleciał go zgrzyt, skrzyp i... wtoczyła się jego własna miednica. Za nią wtoczył się dzbanek, podtrzymywany przez nogę od stołu i popychany z tyłu przez brzęczącą lampę. Nad nimi rozpiął swe skrzydła nowy, czarny parasol.

Gdy stanęli na podłodze izdebki, parasol zwinął swe skrzydła i podał rękę nodze od stołu, poczem kiwał się na wszystkie strony, jakby składał sprzętom izdebki najniższe ukłony.

Stół, chcąc mu widać odwzajemnić

grzecznością, skłonił się — lecz zapomniał, że miał jeszcze tylko trzy nogi — i nagle... nagle głowa stołu spadła na błyszczący dzbanek, a białe jajka potoczyły się po podłodze. Po chwili żółte kałuże widać było w różnych miejscach pokoju.

A wtedy student wybuchnął długim, serdecznym śmiechem. Wyskoczył z posłania, podstawił czwartą nogę pod wywrócony stół i zaczął ustawiać sprzęty na swoich miejscach. Wtedy dopiero zauważył, że miednica pełna była przewybornych jabłek, a na dnie dzbanka zostały jeszcze nienaruszone jaja. Zobaczył, że lampa pełna była nafty, a parasol - przybłęda ze złotą był rączką. Życie wydało mu się nagle jasne, dobre i radosne.

Przy pierwszych blaskach wschodzącego dnia student siadł do stołu, by napisać pierwszą na świecie, prawdziwą bajkę.

A. Crucsy.

ŚMIERĆ NA GRUSZY

2) *Z opowieści Wujka Czesia.*

Gniewem swoim obrażał Pana Boga, a nicponie mimo to jak przychodzili, tak przychodzili. Kradli mianowicie wtedy, kiedy pustelnik spał.

Tak tedy mijał rok za rokiem, minęło lat kilkanaście, i pustelnik czuł się bardzo nieszczęśliwy. I wtedy właśnie zdarzyło się, że Pan Jezus zszedł na ziemię pomorską i niepoznany chodził od sioła do sioła, od miasta do miasta, ażeby przekonać się osobiście o krzywdach, jakich lud polski doznaje od srogich i bezlitosnych Krzyżaków.

Pewnego wieczora jesiennego zaszedł Pan Jezus do pustelnika Wawrzyńca. Pustelnik, widząc obcego i drogą daleką utrudzonego wędrowca, przyjął go nader gościnnie. Nazbierał szybko dużo mchu i liści suchych, rozpostarł na ziemi, pod głowę dał wiązkę siana i urządził w ten sposób wygodne legowisko dla strudzonego wędrowca. A kiedy nazajutrz Pan Jezus obudził się, ujrzał przed sobą gotowe śniadanie: smaczne korzonki i suszone jagody, żołędzie bukowe i orzechy laskowe, oraz wyborne soczyste gruszki i kubek świeżej wody źródlanej. Pan Jezus posilił się, a zabierając się w dalszą drogę, zapytał pustelnika:

— Czy masz jakie życzenie? Powiedz, a spełni się.

— Nie — odpowiedział pustelnik — nie mam ja żadnych życzeń, niczego nie pożądam.

Ale Pan Jezus spojrzał na gruszę przed pustelnią i zapytał:

— Naprawdę, nie masz żadnych życzeń?

Wtedy pustelnik przyznał się nieśmiało: — Ach tak, miałbym jedno jedyne życzenie. Ale chociażbym je powiedział, to i tak nigdy się nie spełni. Bo na tych nicponiów z Gródka niema żadnej rady.

— No, powiedzże, co cię nęka? — rzekł Pan Jezus — a kto wie, może znajdzie się jaka rada.

— Ach! — odparł pustelnik — chciałbym posiąść coś, czem odstraszyłbym wszystkich nicponiów i złodziejaszków od mojej gruszy.

— Dobrze — rzekł Pan Jezus. — Od tej chwili będziesz mógł każdego, kto

---

Z przyczyn niezależnych od Redakcji nie dajemy w tym numerze dalszego ciągu „W czasie burzy“ A. Kwiecińskiej. — W przyszłym numerze umieścimy więcej tej zajmującej powieści.

wejdzie na twoją gruszę, przytrzymać według swej woli.

— Lecz jakim sposobem?

— To pozostawiam tobie, gdyż ufam dobroci twego serca.

— Będę mógł przytrzymać na drzewie?

— Tak.

— I nicpoń nie będzie mógł z drzewa zleźć?

— Nie będzie mógł.

— I drzewo uwolni go wówczas dopiero, gdy ja zechcę? — dopytywał się zaciekawiony pustelnik.

— Tak — odpowiedział Pan Jezus. — Lecz pamiętaj, ażebyś władzy tej, jaką ci daję w darze, nie nadużył do celów grzesznych.

Pustelnik usłyszawszy to, zaczął skakać i tańczyć z ogromnej radości, a gdy się opamiętał i chciał dziękować za dar, już Pana Jezusa nie było. Szukał, wołał — ale wszystko napróżno. I wtedy domyślił się, kogo gościł w swej pustelni.

Pustelnik tedy pragnął jak najprędzej wypróbować siłę swego zaklęcia. Długo czatował, lecz nikt się nie zjawił. Wobec tego w południe zdrzemnął się i chrapał tak głośno, że ptaszki i króliczki się dziwowały. A kiedy nareszcie się zbudził, ujrzał na gruszy jakiegoś nicponia, który wlazłszy cichaczem na drzewo, zajadał się smacznemi gruszkami. Wówczas pustelnik wstał, podniósł ręce i szepnął:

Hejże gruszo, miła gruszo,
Niech gałęzie twe się ruszą
I niech schwycą szybko, ładnie,
Tego, co mi gruszki kradnie.

Zaledwie pustelnik wypowiedział te słowa, już gałęzie ruszyły się z groźnym chrzęstem i w mig jedne schwyciły nicponia za kark, inne za ręce, inne za nogi. Nicpoń przerażony krzyczał, szamotał się, ale gałęzie gruszy trzymały go jak w kleszczach. Nicpoń zaczął płakać, prosić, przepraszać i przyrzekać, że nigdy już owoców z cudzych drzew wykradać nie będzie. Pustelnik słuchał i śmiał się zadowolony, że zdobył sposób na nicponiów. Potem poszedł do swej pustelni, pozostawiwszy nicponia w uścisku gałęzi gruszy.

Ludzie przechodzący lasem, słyszeli krzyk i płacz nicponia, pośpieszyli więc pod gruszę, ażeby go uwolnić. Gałęzie jednak nietylko nicponia nie puściły, lecz nadto wszystkich, którzy do gruszy się zbliżyli, zaczęły bić i drapać. Ludzie więc ukryli się w zaroślach i czekali zaciekawieni, co dalej się stanie. A nicpoń pozostał sam na drzewie, pełen lęku i skruchy. Przesiedział tam całe popołudnie i wieczór i noc całą, głodny i zziębnięty bardzo. Rano dopiero pustelnik opuścił pustelnię, stanął pod drzewem, wzniósł w górę ręce i szepnął:

Hejże gruszo, miła gruszo,
Niech gałęzie twe się ruszą,
Niech uwolnią złego człeka,
Niech coprędzej stąd ucieka.

I zaledwie pustelnik wypowiedział te słowa, już gałęzie rozłożyły się swobodnie i nicpoń wolny zeskoczył z drzewa i uciekał co tchu w stronę wioski. W wiosce rozpowiedział o czarodziejskiej gruszy i o tem, co go spotkało. Wszyscy okrutnie się przerazili i od tej chwili zdaleka omijali gruszę pustelnika. Pustelnik miał teraz spokój, nikt już nie wykradał mu smacznego owocu i nie niszczył umiłowanego drzewa.

I znowu mijały lata, rok za rokiem, grusza rozrastała się i rodziła coraz więcej owoców. Nikt już do pustelni nie zaglądał, bo ludzie bali się tego miejsca, myśląc, że z pustelnika to wielki i niebezpieczny czarodziej.

Aż oto pewnego pięknego dnia — a było to wtedy, kiedy pustelnik ukończył był właśnie sto lat życia, — na drodze do pustelni ukazał się pewien obcy wędrowiec. Wędrowiec był wysoki chudy i w czarnym habicie. Zbliżył się do pogrążonego w modlitwie staruszka i zapytał:

— Tyżeś to, Wawrzynie, pustelniku?

— A tak, ja jestem Wawrzyn pustelnik — odpowiedział staruszek. — Czego żądasz odemnie, nieznany wędrow-

cze. Wstąp do mej pustelni, proszę bardzo, wypocznij i posil się trochę.

Lecz na to odezwał się wędrowiec w czarnym habicie: — Hej, nie spoczynku mi potrzeba ani posiłku. Jam śmierć. Pan mnie tu przysłał, ażebym ciebie stąd zabrał i zaprowadził przed Tron Najwyższego. Czyś gotów?

I wtedy pustelnik się przeraził. Żal mu było rozstawać się z życiem, z tą pustelnią zaciszną, z tym lasem ślicznym. Żal mu było rozstawać się z temi ptaszkami rozśpiewanemi i oswojonemi króliczkami, zajączkami, sarenkami. A nadewszystko żal mu było rozłączać się z tą gruszą umiłowaną, którą własnoręcznie zasadził, wyhodował, i która tyle dziesiątek lat go żywiła. Staruszek stuletni nie chciał umierać, chciał żyć. Przeto myślał i myślał, w jakiby sposób mógł wystrychnąć śmierć na dudka. I wymyślił sposób, bo zaczął przemawiać głosem dobrodusznym:

— Ach, panie dostojny, skoro taka wola Boża, poddać się jej muszę. Ale czy wolnoby mi było zabrać na tę ostatnią drogę trochę gruszek?

— Owszem, — odpowiedział Kostuś w czarnym habicie — weź tyle gruszek, ile chcesz.

— Ano, dzięki ci za to — odpowiedział staruszek podstępnie. — Ale jam stary już, trudno mi wleźć na drzewo. Czy nie zechciałbyś mi sam zerwać parę gruszek?

— Ależ owszem — odpowiedział wędrowiec w czarnym habicie, i wlazł na drzewo.

Lecz na to tylko czekał pustelnik. Odrazu wzniósł ręce w górę i szepnął pospiesznie:

Hejże gruszo, miła gruszo,
Niech gałęzie twe się ruszą
I niech schwycą szybko, ładnie,
Tego, co mi gruszki kradnie.

I zaledwie słowa te wypowiedział, już gałęzie oplątały czarnego wędrowca ze wszystkich stron tak, że ruszyć się nie mógł. Wtedy pustelnik zaśmiał się głośno i zaczął skakać i tańczyć dokoła drzewa i śpiewać:

Hej, hej, już nie grozi nam nic złego,
Już śmierć żywych nas nie ruszy,
Teraz wiecznie żyć będziemy,
Bo śmierć uwięziona jest na gruszy.

Staruszek tak się roztańczył, że nagle potknął się niespodzianie i upadł pod gruszą. W tejże też chwili trzasło mu coś w nogach i uczuł straszliwy ból. Oto złamał odrazu obie nogi, tak, że nie mógł się z miejsca ruszyć. Leżał tam pod drzewem dzień, leżał noc i jeszcze dzień i wił się z bólu. Nie znalazł się nikt, ktoby go poratował, bo ludzie, jak już powiedziałem, zdaleka omijali jego pustelnię. A do wszystkiego złego doszło i to, że nękał go głód straszny i pragnienie, bo od półtora dnia nie miał nic w ustach, ani kropli wody. Wtedy pustelnik wzniósł ręce do góry i szepnął:

Hejże gruszo, miła gruszo,
Niech gałęzie twe się ruszą,
Niech uwolnią złego człeka,
Niech coprędzej stąd ucieka.

Gałęzie natychmiast uwolniły czarnego wędrowca, ale on z drzewa się nie ruszył, jeno śmiać się zaczął szyderczo. Pustelnik jął błagać, ażeby wędrowiec czarny uwolnił go od cierpień, ażeby pozwolił mu umrzeć. Ale wędrowiec czarny w odpowiedzi znowu się zaśmiał szyderczo, i zrzucił mu jedną gruszkę. Pustelnik zjadł gruszkę łapczywie, bo głodny był bardzo. Minął dzień, i wędrowiec czarny znowu zrzucił jedną gruszkę. Tak trwało dni siedm. Pustelnik otrzymał codziennie jedną gruszkę.

Siódmego dnia wieczorem, nacierpiawszy się straszliwie z powodu złamanych nóg i głodu, pustelnik umarł pod gruszą. Umarł z głodu w męczarniach, za karę, że nie chciał usłuchać wezwania Pana Jezusa i że nadużył swej władzy, pragnąc oszukać śmierć.

C. K.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

SPRAWY RELIGIJNE.

W wilję Bożego Narodzenia Ojciec św. wygłosił allokucję, w której dziękując za składane Mu przez Kolegjum Kardynałów życzenia jubileuszowe, dał wyraz „wdzięczności nieprzerwanie żywionej wobec Boga, jedynego Twórcy tak pięknych i świętych spraw, któremi przepełnił Pan rok jubileuszowy" — odnowienie życia chrześcijańskiego w stosunkach indywidualnych i społecznych i porozumienie laterańskie. — Jednakże Papież nie może się nazwać zadowolonym ze wszystkiego. Akcja katolicka nie jest odpowiednio traktowana. Mówić, że Akcja katolicka uprawia politykę, to spotwarzać Akcję i samego Papieża". Nie jest też godnie traktowana prasa katolicka, jest ona nawet źle, nienawistnie przez niektóre czynniki traktowana. To są sprawy bolesne, ale „i w troskach Naszych jesteśmy radośni, kończył Papież, mając nieskończoną ufność w dobroć i sprawiedliwość Bożą".

Encyklika papieska po polsku. 11 stycznia ukazała się encyklika papieska w sprawie wychowania młodzieży, wydrukowana w Watykanie w jęz. włoskim, francuskim, angielskim, niemieckim, hiszpańskim i polskim. Dedykowana ona jest „Drogiej młodzieży z intencją i uczuciem zupełnie specjalnem". Papież mówi. że w wychowaniu młodzieży winny współdziałać rodzina i społeczeństwo świeckie, jako czynniki naturalne, oraz Kościół, jako czynnik nadprzyrodzony. Misja Kościoła obejmuje wszystkie narody, nie sprzeciwiając się temu, aby szkoły i instytucje wychowawcze podporządkowane były kompetentnej władzy świeckiej, z którą Kościół zawsze jest gotów porozumieć się. Nadewszystko Kościół uznaje prawo rodziny w zakresie wychowania religijnego moralnego, fizycznego i obywatelskiego. Państwo winno szanować prawo rodziny i Kościoła do wychowania, w razie potrzeby udzielać im materjalnej i moralnej pomocy, może zaś wymagać dostosowania szkół do potrzeb nowoczesnych. Nie zmuszając rodziców do kształcenia dzieci w szkołach państwowych, gdyby to było przeciwne ich sumieniu jako chrześcijan, państwo może sobie rezerwować zakładanie i prowadzenie szkół przygotowujących do służby państwowej, przedewszystkiem do służby wojskowej.

Należy pogodzić współpracę państwa i Kościoła zgodnie ze słowami Ewangelji: „Oddajcie co jest cesarskiego cesarzowi, a co boskiego Bogu". — W dalszym ciągu Papież wzywa do tworzenia szkół katolickich, wychowujących obywateli lojalnych w stosunku do władzy świeckiej.

Celem wychowania, głosi encyklika, jest człowiek, którego wszystkie zdolności przyrodzone zostały należycie rozwinięte w harmonji z życiem nadprzyrodzonem.

Kardynał Gaspari, sekretarz stanu, który doprowadził do skutku umowę laterańską, ustępuje z powodu podeszłego wieku, ze swego stanowiska w dn. 14 lutego, i ma oddać się pracy naukowej nad źródłami prawa kanonicznego.

Następcą Kardynała Gaspari ma być Kardynał Pacelli.

W spisie najbliższych beatyfikacyj zamieszczeni zostali **Camille Ferron i Philibert Franc,** zawodowi dziennikarze. Będą to pierwsi dziennikarze zaliczeni w poczet błogosławionych.

W Meksyku po 3 latach prześladowania religijnego, odbył się wspaniały obchód święta Matki Boskiej, w którym uczestniczyły setki tysięcy wiernych.

Episkopat meksykański wydał zbiorowy list pasterski w którym omawia uroczystości kościelne jakie odbyć się mają z okazji 400-letniej rocznicy objawienia się Najśw. Marji Panny w Guadelupe.

„Osservatore Romano", dziennik wychodzący w Watykanie zamieszcza obszerny artykuł, zatytułowany „Kwiaty z Polski". Kwiatami są listy w liczbie 2.000, które dzieci należące do Krucjaty Euchary-

stycznej napisały do Ojca św. z racji Jego jubileuszu. O. Bok T. J. wręczył je Ojcu św. oprawione w 9 wielkich tomów. Dziennik watykański pisze, że liściki te pełne świeżej niewinności, będą wśród hołdów jubileuszowych jednemi z najmilszych dla wspomnień i serca Jego Świątobliwości. — Ojciec św. przysłał wszystkim piszącym te listy „wielkim i małym“ swoje szczególne błogosławieństwo.

ŻYCIE NARODOWE I POLITYCZNE

58 sesja Rady Ligi Narodów obradowała w Genewie w dn. 13—16 stycznia pod przewodnictwem min. Zaleskiego.

Statystyka posłów naszego sejmu pod względem narodowościowym wykazuje: 350 Polaków, 44 Rusinnów, 21 Niemców, 15 Żydów, 12 Białorusinów, 1 Czech, 1 Rosjanin. Według zawodów mamy: 89 rolników, 43 prawników, 43 literatów i dziennikarzy 43 profesorów, 38 urzędników państwowych, 27 ziemian, 26 urzędników prywatnych, 21 nauczycieli, 21 kupców, 11 duchownych t. j. księży, pastorów i rabinów razem wziętych, 9 wojskowych, 4 aptekarzy, 4 kooperatystów, 2 rzemieślników, 3 posłów, którzy nie podali zawodu.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej zamianował Dr. Jantę - Pełczyńskiego ministrem rolnictwa.

Jenerał Weygand, najbliższy współpracownik śp. marszałka Focha, jako naczelnego wodza wojsk sprzymierzonych, został powołany na stanowisko szefa sztabu armji francuskiej. — W r. 1920 r. obok polskiego szefa sztabu, generała Rozwadowskiego, pod rozkazami naczelnego wodza, marszałka Piłsudskiego, brał on bezpośredni udział w wojnie polsko-rosyjskiej, wywarł wielki wpływ na zmianę metody wojennej w czasie cofnięcia polskich sił od Bugu i przyczynił się w wielkiej mierze do świetnego zwycięstwa nad Wisłą.

W Austrji b. kanclerz, ks. Dr. Seipel, który przez czas dłuższy trzymał się zdala od polityki, objął na nowo kierownictwo stronnictw chrześcijańsko-społecznych.

Polska nawiązuje stosunki dyplomatyczne z Meksykiem. Postanowiono zaakredytować ambasadora Rzeczypospolitej w Waszyngtonie jednocześnie w charakterze posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego w Meksyku, wobec czego w najbliższym czasie należy spodziewać się zaakredytowania posła meksykańskiego w Warszawie.

W Hiszpanji Primo - Riverra, od lat 6 sprawujący rządy dyktatorskie podał się do dymisji. Powołany na to stanowisko przez króla Alfonsa w 1923 r. położył znaczne zasługi w uspokojeniu zamieszek wewnętrznych i walk w Maroku jednak bezwzględnością taktyki (skrępowanie wolności słowa) odwrócił od siebie współobywateli. Król dymisję przyjął, polecając stworzenie nowego gabinetu generałowi Berenguer. Polityków zajmuje teraz kwestja, czy Hiszpanja wróci do konstytucji z 1876 r., która na czas dyktatury uległa zawieszeniu, czy też będą dokonane jakie zmiany.

Kongres panindyjski, obradujący w grudniu z. r. w Lahore powziął uchwałę zapowiadającą zupełną niezależność Indji. Trudno dziś przewidzieć skutki tej uchwały. Indje „perła w koronie Imperjum Brytyjskiego“, stanowią podwalinę potęgi Anglji, która dołoży wszelkich starań, by utrzymać się przy władzy. Wewnętrzna słabość Indusów podzielonych na sekty, różniących się między sobą obyczajami, językiem, religją (braminizm, buddyzm, mahometanizm) każe sceptycznie patrzeć na wolnościowe porywy bardziej narodowo uświadomionych jednostek. Ogół poddaje się tam biernie jarzmu obcemu, ginąc z głodu w kraju bogatym, rolniczym, płacąc 50—70 proc. podatku ze swych plonów. Szlachetną działalność Gandhiego, jednego z najidealniejszych przewódców wolnościowych, krzyżują podstępne knowania sowietów.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

V. powszechny zjazd historyków polskich odbędzie się w Warszawie w dn. 29 listopada do 2 grudnia b. r. Pierwsze miejsce w pracach zjazdu zajmie historja ostatnich lat 150, którym poświęcona będzie

osobna sekcja pod przewodnictwem prof. Tokarza. Referaty na posiedzeniach plenarnych poświęcone wypadkom lat 1830—1831 objęli prof. Szymon Askenazy i prof. Wacław Tokarz. Sekcji dziejów dawnej Polski ze szczególnem uwzględnieniem Litwy przewodniczyć będzie prof. Wacław Sobieski.

Dr. Wilk, adjunkt obserwatorjum astronomicznego w Krakowie **odkrył** w gwiazdozbiorze Herkulesa, niewidzialną przez małe lunety **kometę** 7-ej wielkości w postaci mgławicy nieco w środku zgęszczonej.

W Mościcach pod Tarnowem odbylo się w obecności p. Prezydenta Rzeczypospolitej uroczyste otwarcie państwowych zakładów związków azotowych.

W konkursie na powieść dla dzieci i młodzieży, ogłoszonym przez wydział oświaty i kultury przy magistracie m. Warszawy pierwszą nagrodę przyznano p. Sewerynowi Przybylskiemu ze Lwowa za powieść z czasów Mieszka II. pt. „Goniec Królewski“. Drugą nagrodę przyznano p. Zofji Sikorskiej z Warszawy za powieść o charakterze społecznym pt. „Dziewczynka z przewozu“.

Radjotelefoniczne rozmowy między Warszawą a Nowym Jorkiem już zapoczątkowano. Pierwsza próba nie dała jednak wyników pomyślnych. Połączenie odbywa się z Warszawy przez Berlin do Londynu telefonicznie. W Londynie następuje włączenie do stacji nadawczej radjotelefonicznej, a ta łączy abonenta ze stacją odbiorczą w Nowym Jorku.

Komunikacja radjotelefoniczna między Warszawą a Buenos-Aires istnieje już od roku.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. p. Benedykt Dyboski, światowej sławy przyrodnik, znakomity badacz fauny syberyjskiej, profesor uniwersytetu lwowskiego, uczestnik powstania 1863 r. — zmarł dnia 1 lutego b. r., przeżywszy lat 95.

Ś. p. Kaźmierz Bartoszewicz, pisarz wybitnego talentu, wielkiej pracowitości, współpracownik wielu czasopism, autor przeszło 40 prac historycznych zmarł przeżywszy 78 lat.

SPRAWY KOBIECE

W Polsce mamy 7 pilotek, które ukończyły odpowiednie nauki i zdały egzamina. Są to: Karolina Iwaszkiewicz-Burhardtowa, która uczyła się w Aero-Klubie akademickim w Krakowie, Marja Tomaszewska i Halina Grzybowska w Aero-Klubie akadem. w Poznaniu, Nina Kłosówna i Irena Bajkowska w Aero-Klubie akad. w Wilnie, Danuta Sikorzanka i Wanda Olszewska w Aero-Klubie akad. we Lwowie.

P. Helena Nagórska, dyrektorka szkoły pielęgniarstwa P. C. K. w Warszawie oraz p. **Rozalja Jachimowicz** pielęgniarka na punkcie emigracyjnym w Wejherowie, otrzymały medale „Florence Nightingale“, przyznawane przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża w Genewie, jako najwyższą odznakę dla pielęgniarek za wybitną i pełną poświęcenia pracę.

Zjazd gospodyń odbędzie się w Berlinie w lutym br. Warszawskie Koło studjów gospodarstwa domowego wysyła nań swą delegatkę.

Kobiety w Lidze Narodów pracowały jako delegatki. W komisji II, obradującej nad sprawami higieny, Instytutu międzynarodowej współpracy intellektualnej, Instytutu pedagogicznego były 3 delegatki Węgier, Anglji i Rumunji. W komisji III — rozbrojenia — delegatka Kanady, w komisji IV — budżetowej, delegatka Holandji, w komisji V — spraw społecznych brało udział 15 delegatek, w komisji VI, spraw politycznych 2 delegatki W. Brytanji, 1 delegatka Danji.

Organizacje kobiece Ameryki, Anglji, Francji i Japonji przygotowują wielką manifestację pacyfistyczną. Plenum konferencji rozbrojeniowej ma być wręczona petycja, podpisana przez 6 miljonów kobiet, domagająca się jak najdalej idącego rozbrojenia i gwarancji pokoju.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

St. Barabasz: **„Sztuka ludowa na Podhalu"**, część III. Witów. (Książnica „Atlas", Lwów - Warszawa 1930.)

Opracowanie to jest cennym nabytkiem do poznania naszej sztuki ludowej, która niestety, coraz bardziej zanika, ustępując wyrobom fabrycznym i miejskiej tandecie.

Autor w części I-szej i II-ej „Sztuki ludowej na Podhalu", wydanej w 1928 r. obejmuje Spiż i Orawę, w części III-ej zajmuje się Witowem, wsią góralską, położoną w dolinie Czarnego Dunajca. Miejscowości te, odcięte od świata górami, najbardziej zachowały czystość pierwotną i bezpośredniość sztuki, różniąc się tem od szablonu naszego „stylu" Zakopiańskiego.

W opracowaniu swojem Barabasz zajął się wyłącznie wyrobami z drewna, zaczynając od budowy chaty góralskiej, umeblowania izby, zdobienia sosrębów i drzwi, aż do łyżników, wałkownic, parzenic (form do sera i innych sprzętów gospodarskich, na których artystyczne zamiłowanie górali kazało im wyrzynać piękne desenie.

Staranne rysunki pozwalają nam podziwiać zmysł artystyczny naszego ludu, lub uśmiechać się nad pełną wdzięku naiwnością niektórych pomysłów, zaś chronologja, podana przez autora oraz zanotowane przez niego imiona naszych artystów ludowych (których zazwyczaj górale za nic nie mają bo, jak powiadaja „on roli gazdostwa nie patrzy, ino mu figle w głowie", dają nam możność śledzenia rozwoju całości sztuki oraz wpływu na nią zdolniejszych jednostek. *A. S.*

Umiński Władysław: **„Pod flagą polską"**. Podróż skauta Jerzego Jelińskiego. Jasna, dobra książka. Weźcie ją tylko do ręki. Pochwyci was odrazu, szeroki rozmach 19-letniego harcerza - marynarza, który wyjechawszy w 1926 r. z Warszawy w dwa lata i 4 miesiące objechał całą kulę ziemską, robiąc 78.000 km. samochodem przez Europę, Afrykę i Amerykę; przepłynął 3 oceany; odwiedził najdalsze placówki emigrantów polskich, dla których wygłosił 150 odczytów; wzbudził swym czynem zainteresowanie całego świata, wywołując pochlebne notatki o Polsce w 2.000 zgórą gazetach.

I to wszystko — prawie bez środków do życia, tracąc po kolei trzech towarzyszy a na ostatku, już w Japonji najwierniejszego — małego pieska.

To też podziw dla młodego podróżnika, dla jego energji nie cofającej się przed niczem, wzrasta w miarę czytania, tembardziej, że okraszona ta dzielność doskonałym studenckim humorem.

Nie dziwimy się też wcale akademiczce lwowskiej, że pojechała za naszym bohaterem, aż na drugą półkulę, ani uroczej amerykańskiej farmerce, która mu się przez ojca swego oświadczyła, po kilkudniowej znajomości.

Największą jednak sympatję budzi w nas dzielny podróżnik, którego miła postać wygląda ku nam z bardzo licznych załączonych fotografji na tle krajobrazów całego świata, swoim gorącym umiłowaniem Polski ukochanej.

Za to mu wdzięczni jestemy najbardziej, że grudkę ziemi ojczystej, ofiarowanej mu na pożegnanie przez cieszyńskich harcerzy, zaniósł wiernie rodakom na najdalsze placówki.

A odkrywał ich wszędzie.

Wśród żołnierzy legji cudzoziemskiej, walczącej po stronie Francji z Marokańczykami, — wśród załogi amerykańskiego parowca — wśród cow-boyów — a nawet pod zawojem arabskiego współpasażera na okręcie, spotyka nasz bohater krajan ze Lwowa i Warszawy, którzy „potrzebowali" przyjąć poddaństwo afrykańskie, aby się dostać do Stanów Zjednoczonych, zamykających swe granice dla Polaków mojżeszowego wyznania.

Przypomina się nam inna książka — także Polaka — także podróżnika, Marjana Zaruskiego. I ten przy pomocy własnej jedynie dzielności objeżdża lądy i morza.

Tylko nie żegna odjeżdżającego ojcowskim słowem zachęty Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Ani Pan Marszałek swoim: „gdy opaszecie flagą polską kulę ziemską, zameldujcie się u mnie". Nie doda mu odwagi.

Ani go witają przedstawiciele naszego państwa na wszystkich punktach kuli ziemskiej.

Zamiast triumfalnej księgi z podpisami panujących całego świata, jedną zna tylko księgę aresztanckich protokołów.

Jak pies poszczuty chyłkiem umyka — jak liść zeschły gnają go wiatry bezdomnego wszędzie, po obcej, wrogiej zawsze ziemi.

Kto przeczytał radosną podróż skauta-marynarza, niech weźmie do ręki tę drugą marynarza - katorżnika, choćby dla kontrastu.

Zrozumie wówczas głębiej, czem jest wolna Ojczyzna.

S. S.

Władysław Szafer: **„Parki Narodowe w Polsce"**. (Nakładem Państwowej Rady Ochrony Przyrody. 1929). Pięknie wydana książka daje w tekście polskim i angiel-

skim szereg krótkich a treściwych i przepojonych umiłowaniem przyrody wiadomości o Parkach Narodowych w Polsce, bądź już utworzonych, bądź projektowanych, wraz z wykazem ważniejszych rezerwatów. Książka ta powinna znaleźć się w każdym domu polskim, szerząc znajomość i mądre umiłowanie przyrody ojczystej.

Ochrona Przyrody, organ P. R. O. P. Rocznik 9. 1929. Rozprawy: Henryk Jasieński: Ochrona przyrody a kultura materjalna. Walery Goetel: Utworzenie Parku Narodowego w Pieninach. Władysław Szafer: Cisy w Puszczy Augustowskiej. Kazimierz Kaznowski: Zabytkowa roślinność wzgórzy pomiędzy Pińczowem a Skowronnem. Juljan Ejsmond: Ryś w dzisiejszej Polsce. Jerzy Cytarzyński: Czarny bóbr z Łunny pod Grodnem. Jan Grochmalicki: Do historji zabiegów o ochronę kozicy i świstaka w Tatrach. Ochrona przyrody zagranicą. Organizacja międzynarodowa ochrony przyrody. Część urzędowa. Korespondencje. Wiadomości bieżące.

Szereg fachowych, a dla każdego kulturalnego człowieka dostępnych i ciekawych artykułów, bogaty dział wiadomości bieżących dają obraz dążeń i poczynań dla ochrony przyrody w Polsce, każą czytelnikowi wniknąć w głąb idei, by pojąć jej doniosłość dla kultury duchowej i materjalnej narodu. Obyż jaknajwięcej ludzi u nas ideę tę pojmowało i z nią współpracowało, bo ochrona przyrody, jeśli ma stanąć na wyżynie swego zadania, musi być dziełem całego społeczeństwa.

I. M.

Otrzymaliśmy od Najprzewielebniejszego Ks. Biskupa Łuckiego list, który przyjaciół naszego pisma zapewne tak jak nas ucieszy, więc się nim z Czytelniczkami naszemi dzielimy:

„Na czele polskich czasopism dla młodzieży żeńskiej należy obecnie bez żadnej wątpliwości postawić „Dziś i Jutro". Zaleca je przedewszystkiem dobór artykułów o treści głęboko katolickiej i owianej sentymentem narodowym.

Współpracownikami pisma są tacy potentanci pióra jak: Z. Kossak-Szczucka, Zegadłowicz, Waśkowski, Kłoniecki i t. p. Jest to tak bujne szafowanie perłami współczesnej literatury, że wprost graniczy z rozrzutnością.

Również pod względem zewnętrznym przedstawia się pisemko wspaniale. Podnieść należy artystyczną okładkę, obfitość ilustracyj; są to albo reprodukcje dzieł sztuki, albo fotografje krajoznawcze, winiety i t. p. Z całem uznaniem podkreślić należy zasługę Redakcji za postawienie pisma na pierwszorzędnym poziomie.

Niech Bóg błogosławi tak zbożnej i owocnej pracy, aby pismo to zdobywało sobie i dziś i jutro coraz liczniejsze zastępy prenumeratorek, by móc je urabiać na dobre Polki według Serca Jezusowego.

† SZELĄŻEK Bp.

OD REDAKCJI

Życie, to „wielka rzecz", prawda **Kaziu,** a jego wyrazem c z a s. Dobrze używać czasu zawsze w każdej chwili, to dobrze spędzić życie. Strzeżmy się marnowania chwil — z nich składa się czas — życie.

Pojęcie czasu nasuwa myśl o p r a c y i jeżeli kiedy, to dziś warto o niej przypomnieć sobie. Wszak w roku obecnym obchodzimy **dziesięciolecie Ligi pracy.** — Co wiecie o tej organizacji? — Jeśli nic nie wiecie, to zadajcie sobie trochę „pracy" — popytajcie, poszukajcie — i napiszcie o tem. Artykuły wasze na ten temat będą miały pierwszeństwo do druku przed wszystkiemi innemi.

Wierszy różnych mamy obecnie zapas duży, więc dlatego też utworów **Basi K.** nie umieścimy, choć za pamięć i list serdecznie dziękujemy. Proszę się tą odmową nie zrażać. Wytrwałość jest też cnotą konieczną do dobrego użycia czasu. Po pierwszej próbie zrobić drugą, dziesiątą, to wreszcie do celu się dojdzie.

Wandzi — powiastka taka smutna, że też jej nie umieścimy. Masz łatwość pisania, więc pisz, ale wybierz temat mniej fantastyczny.

Olę Kotkowską — o zapowiedziane „myśli" prosimy, nic jednak nie obiecując, skoro nie wiemy około jakiego tematu się obracają i jak się wyrażają.

Isiu — „jałmużna miłości" więcej zna

czy, niż grosza. Jeśli nie masz co dać — daj słowo dobre, uśmiech życzliwy — modlitwę. Zdziałasz tem więcej niż bogacz majątkiem miljonowym.

Basiu M. Za list i łamigłówki dzięki. I ja z radością czytam Twoje listy i cieszę się, że Dziś i Jutro mile zawsze witasz. Wytrwałością i pracą można „cudów" dokonać. Dołącz do nich serdeczną prośbę o pomoc Bożą — a dojdziesz do celu.

Marzycielko. — Wzór do haftu podany w Nr. 4 powiększony (38X41) możesz otrzymać w redakcji w cenie 2 zł.

Wandziu G. w Rybniku. „O czem szumiał" przeznaczone do jednego z najbliższych numerów.

ILUSTRACJE DLA DZIECI

Od najmłodszych lat dzieci lubią oglądać obrazki, gdy dostaną książkę, patrzą przedewszystkiem czy jest z obrazkami i muszą najpierw obejrzeć ryciny. Przy czytaniu głośnem książki przez starszego, dzieci domagają się pokazania odnośnego obrazka.

Dobre ilustracje są dzieciom wielką pomocą do odtworzenia fabuły, złe — hamują ich wyobraźnię. Trudno jest powiedzieć, które ilustracje są dobre, a które złe dla dzieci — oparłam się tu jedynie na obserwacji czynionej nad dziećmi. Zauważyłam, że nieraz mimo dobrego wykonania, ilustracje są mało zrozumiałe dla dzieci. Dla dziecka główną rzeczą na obrazku jest fabuła (treść), która musi być wyraźna, nie skomplikowana, wystarczy, by występowały dwie osoby, dwa kotki czy tp. w ruchach żywych, wyraźnych. Forma musi być jasna, nie podoba się dzieciom obrazek, w którym trzeba doszukiwać się tego, co on przedstawia: cytuję wymowny przykład: mojej małej siostrzyczce nie podoba się obrazek, przedstawiający na bogatem tle krajobrazu grupkę bawiących się dzieci. Zainteresowało mię to: wycięłam z obrazka część z grupką dzieci, uwaga nie potrzebowała się już rozpraszać na nadmiar przedmiotów, jak drzewa, otoczenia, łąki i mogła bez wysiłku skoncentrować się na grupie dzieci i odtąd obrazek zaczął się podobać. Na pierwszy więc plan występować musi to, co dziecko interesuje. Wielką rolę odgrywa u dzieci barwa; nieraz można wśród nich spotkać wprost manję kolorowania kartek, obrazków w książkach.

Charakterystyczną cechą psychiki dziecka jest instynkt ożywiający i uosabiający: „jest on bardzo silny, daleko sięgający oraz... stanowi jedną z najcharakterystyczniejszych cech dziecinnej wyobraźni" (Sully). Dziecko żyje — więc i wszystko musi żyć. Czy bałwan ze śniegu, czy mieszkańcy lasu... dlatego świat bajek dziecinnych tak pełen jest krasnoludków i innych podobnych postaci, dlatego takie cechy realistyczne przybiera zabawa w lalki, w żołnierzy. Nieraz zabawki czy obrazki, nawet niezbyt artystyczne budzą zainteresowanie i podobają się.

Tak, jak we wszystkiem — i w ilustracjach dla dzieci, posługiwać się trzeba zasadą bezpośredniości, osobistego przeżycia. Rowid w „Szkole twórczej" mówi, że. „dla młodszych dzieci nadają się obrazy treści realistycznej, przedstawiające czynności człowieka, sceny z życia dzieci i zwierząt, wreszcie krajobrazy, słowem, treść powinna być zajmująca, wzięta ze sfery zainteresowań dzieci".

Wanda Szarska.
III kurs sem. g.

PRZED OKNEM WYSTAWY

Tratata! tratata! grają krople deszczowe żałobnego marsza na blaszanych dachówkach. Tratata! tratata! spadają z brzemiennych słotą chmur i niby piłki odbijają się od licznych baldachimów czarnych parasoli, które, jak jakiś żałobny kwiat okryły gwarne ulice. Tratata! tratata! wygrywa zmieszany z deszczem śnieg smutną melodję o dachach, brukach, rynnach i szybach, zimnym potem okrytych. Tę jednostajną muzykę przerywa ryk aut, dźwięk dzwonków, i ogólny ruch rozpędzonych w szalonym biegu kół. Błotniste jeziora i kałuże gęstą siecią szeroką jezdnię pokryły, w ich mętnej tafli, jak w przeźroczem zwierciedle, przeglądają się ciekawe światła, wyciągniętych w dwurzędzie latarni, a ich ciemną powierzchnię rozpryskują końskie kopyta. Potrącając się ustawicznie w ulicznym zamęcie, zziębnięci przechodnie pochowali nosy w kołnierze, a ręce w kieszenie płaszczów, bo wicher chłoszcze ich twarze, a zamieć oczy przesłania. Brodząc w rozmiękłej kaszy śniegowej, klnąc w duchu nieprzychylną pogodę, skostniałem ciałem instynktownie, unikają jezdni, skąd leci na nich błoto i śnieg. Zimno... wietrzno... mokro. Mokro na twarzy, mokro w nogi

i oczy... bo wilgoć nielitościwa oślizgłem ciałem każdy członek otulająca, przenika do szpiku kości, br.... Nie namyślając się wiele, chronię się pod wystający daszek, by bodaj przez chwilę przed oknem wystawy doznać miłego wrażenia. O radości! tam, za tą szklaną szybą widnieją cuda, suknie tylko w sennych marzeniach widziane, lśniące jak lustro jedwabie, srebrzyste lamy, gazy lekkie i jasne jak mgły. Cały świat czarowny i piękny, lecz tylko dla wybranych otwarty i im swe skarby okazujący. O cudzie! Tam za wystawą sklepową tak ciepło i zacisznie. Spływają lekkie tiule barwnym wodospadem, majaczą atlasy, rozkwitają balowe kwiaty kolorowemi tęczy, gazy wzrok lekkim woalem przesłaniają. Mącą się myśli i w dalekie kraje unoszą... tam w sali wśród dźwięków orkiestry suną powiewne pary w elektrycznem świetle. Panie jak z żurnala wyjęte, na twarzy jak lalki umalowane, cienkie i wysmukłe przesuwają się w wdzięcznych obrotach walca w objęciach akademików... sportowców... O cudzie! lśnią lampy blasków tysiącem, mienią się strojne toalety, muzyka gra wiedeńskiego walca, zgóry sypie się deszcz confetti i długich kręconych węży. Wiruje sala i wraz z tańczącemi zbliża się do mnie. Już słyszę szelest jedwabiów, czuję zapach perfum, palcami miękkości gaz dotykam. Już są coraz bliżej i bliżej, ktoś we fraku przedemną staje „czy pani tańczy?“. Ach! co to, nikną urocze marzenia, a z mokrego dachu spada mi na nos kropla deszczu, za nią druga, trzecia, czwarta. Przedemną za szybą wystawy migocą nadal złociste lamy, ścielą się koronki i atłasy, spadają tiule przejrzystą kaskadą, lecz w dali miast dźwięków walca słychać turkot i hałas wielkiego miasta. „O śnie złoty! duszę w więzy fantazji wiążący. O śnie złocisty, błogi, lecz daleki, żegnaj! Na dworze nadal panuje słota, potrącają się zakutami w futra ludzie, ryczą auta, dzwonią tramwaje, a za szkłem wystawy, wlokąc za sobą tren, powłóczysty drewniany manekin zgina się w wdzięcznym ukłonie. Z mokrego dachu spada na mój zaczerwieniony nos kropla jedna, druga.... trzecia

Nina Wrabecówna
uczennica VII klasy g.
S. S. Nazaretanek we Lwowie.

ZAGADKI.

Jaki dzień jest bardzo mroźny?
Jaki wiek jest krótkotrwały?
Jaki pień bywa pogodny?
Jaki pan raz tylko strzela?

Jakaż to powieść wszystkim dobrze znana,
Która brzmi równo wprost i wspak
[czytana?



Serwetka klockowa.
Proj. K. Kłosowski, Zakopane.

TREŚĆ Nr. 6.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie 8 zł. — Cena pojedyńczego egzemplarza 80 gr. — W Ameryce prenumerata roczna wynosi $1^1/_2$ dolara. Konto P. K. O. 404.930.

Początek roku wydawniczego — 15. IX. 1928 r.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.